

# Syska, Henryk

---

## Zwiastun kurpiowskiego ustronia

---

Zeszyty Naukowe Ostrołęckiego Towarzystwa Naukowego 7, 152-169

---

1993

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych [mazowsze.hist.pl](http://mazowsze.hist.pl).

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

## REGIONALIZM I PROBLEMY SPOŁECZNO- -KULTURALNE REGIONU

HENRYK SYSKA

### ZWIASTUN KURPIOWSKIEGO USTRONIA

*Publikujemy część I obszernej biografii wybitnego Puszczaaka Piotra Kaczyńskiego pióra Henryka Syski. Część II ukaze się w roczniku 1994 „Zeszytów”.*

Redakcja

#### I

Dzisiejsza ziemia ostrołęcka w posiadłościach swojego województwa poszczycić się może niewątpliwym bogactwem etnograficzno-społecznej różnorodności. Rozległy obszar północy, od Narwi aż ku dawnej granicy Prus Wschodnich — to znana powszechnie z gospodarki leśnej, obfitości miodu i bitnego w obronie Rzeczypospolitej ludu Puszcza Zielona. Zapuszczający się do niej, następnie zasiedlający ją wytrwali bartnicy, a jednocześnie mocą nadzwyczajnych łaskawości prawnych posiadacze broni palnej strzelcy, z dawien dawna zwrócili ku sobie przyjaźń licznych badaczy naszej przeszłości rodzimej, dostrzegających w ludzie utwardzoną postawę odrodzenia i bytu wyzwolonej od zaborców Polski, której tęskne widzenia krążyły po duktach, matecznikach i zagajach.

Od zachodu myszynieckiej zagajnicy i kadzidlańskich borów, z biegiem Orzyca i doliną Orza, rozniosły się po równinach liczne, o zwartej zabudowie zaścianki rozdrobnionej majątkowo szlachty. Głośna przed wiekami ze środowiskowej kłótności i pieniactwa, udostojniona pieczęcią herbową, zubożała ciągnącymi się z pokolenia na pokolenie podziałami dóbr i ostatecznie schłopiała, w każdym calu własnego istnienia zachowała jednak po dzień dzisiejszy poczucie osobistego poszanowania i pewnej odporności wobec różnych, następujących po sobie prób podrywania jej fundamentalnych podstaw kulturowych. Uwiecznienie końcówką *ski*, lub *cki* nazwisko, duch rodowego dziedzictwa i dziedzicznej zagrody wydaje się być nadal niezwyknięty, zawsze skłonny do odrodzenia po licznych słabiznach i załamaniach.

I wreszcie Puszcza Biała. Krzepko wsparta południową stroną o wybrzeża Bugu, kolorystyką wewnętrznego wystroju dzielnie współzawodnicząca ze swą nadnarwiańską krewniaczką, mimo bliskości stołecznego posiadicielstwa, ostatkami swej mocy wiernie strzeże znacznych jeszcze resztek ludowości, znaczonych urodą zasiedziałej tu stuleciami architektury, mitologią obrzędowości, zaciszem sztachetami grodzonych podwórek. Wymarzona przed stuleciem ustroń dla oczarowanych swojszczyzną niepodległościowych spiskowców, znajdujących tu bezpieczne miejsce dla ojczyźnianego przyśpiewu. Pełna ożywczych westchnień Romana Zmorskiego, Teofila Lenartowicza, Aleksandra Niewiarowskiego, Oskra Kolberga, Julii i Karola Brzozowskich, Michała Morzkowskiego.

Twórco, nadzieję wzbudzający niepokój, podchodził do chat obydwu puszczy kurpiowskich, poruszał cierpliwie okiennicami zaścianków. Posmutniały ludzkie twarze nad mogiłami powstańców 1863 roku. Nagoszewo i Łączka, Podoś i Mag-nuszewo, Surowe i Gontarze, to umowne znaki polskiej rozpaczki narodowej, gdzie pogrzebana została doraźnie nadzieja skuteczności podejmowania dotąd zmagañ okrężnych, by odrodzić się w nowych zestawach pracy wyzwoleniczej, pod jawnym już wyzwaniem krajowego pozytywizmu. Próg środkowego Ponarwia i Nadbuża przestąpiła ona za pośrednictwem „Gazety Świątecznej” i „Zorzy”, otworzyła źrenice elementarzem obrazkowym Kazimierza Promyka, wciskającym się z nadzwyczajną sprawnością tajnym nauczaniem czytania i pisania, które szerokim strumieniem rozprzestrzeniło się na obszarach dzisiejszego województwa ostrołęckiego.

Każde, sprawniejsze i uwidocznione działanie jest wynikiem pomysłowości i czynu niespokojnych społecznie jednostek. Pojawiają się one najzupełniej nieoczekiwanie, rzucają cenne myśli, rozruszają najbliższe bodajby sąsiedztwo własnymi jego, o wioskowym zasięgu potrzebami. Nie najuboższe w takie posłannictwo były obydwie puszcze kurpiowskie, nie odbiegały od nich rozproszone pośród ornych włók pszenicznych zaścianki. Po licznym zastępie podobnych wybrańców losu nie pozostało najdrobniejszego już śladu. Z niepowetowaną szkodą dla następujących po sobie pokoleń cenne ich nazwiska zapadały w głąb cmentarnej ciszy, z drobnym zaledwie wyjątkiem utrwalonych wieczyście ręcznym, a jeszcze bardziej drukowanym zapisem. Pionierski zastęp niedawnych jeszcze powiatów i ich części składających się na dzisiejsze województwo ostrołęckie godnie spełniał swoje, dobrowolnie przyjęte, oświecenielskie powinności, dotyczące wrastania ludu w naród, by mógł on z dojrzałą niż kiedykolwiek świadomością wykazać się wobec wychodzącej z ukrycia i oswobodzonej od obcego panowania ojczyzny. Między tymi, co Polskę strzechom, a strzechy Polsce przybliżali, nie zapominając o swoim, chłopskim rodowodzie i wynikającym z niego zobowiązaniu, znalazł się Piotr Kaczyński.

## II

Zaprzepaścili się gdzieś — oby tylko nie bezpowrotnie — założycielskie dowody, położone na południowych obrzeżach Puszczy Zielonej, Dylewa. Z pomocniczych tylko resztek dokumentalnych wiadomo, że ta, dość pokaźna osada kurpiowska, od

początków XVIII stulecia była miejscem zamieszkania nadzorców królewskich włości, nazywanych wówczas strzelcami, po strachu dla kłusowników grubszej zwierzyny, podkradaczy budowlanych kłoców, niszczycieli drzew bartnych, których obfitość sięgała tu potajemnie licznych amatorów cudzej własności. Dość rzadka jeszcze okoliczna ludność zazdrosnym okiem podpatrywała dorodne chałupy nowych właścicieli, ich gospodarskie obejścia, wznoszone z dorodnych „dylów”, jak nazywano potocznie tęgie, sosnowe odziemki, sposobione ciesielskim toporem na podwaliny, bierwiona, krokwie i belki, a nawet wykładzinę podłogową, nie wyłączając masywnego ogrodzenia. Tak oto znaleźliśmy się u prawdopodobnych źródeł nazwy tej miejscowości, która w dziejach leśnego ustronia spełniać miała wyjątkowo znaczącą rolę. Jeden z nielicznych tu folwarków rządowych był siedzibą obdarzonego wysokim zaufaniem naddzierżawcy także i ciągnącego podatki urzędu ekonomicznego, któremu podlegał bezpośrednio dwór rządowy Budne, Omulew i Łączyn. Jeszcze w 1903 roku objeżdżający te okolice, dostojny gość z Długoborza, koło Zambrowa, Konstanty Długoborski dzielił się z czytelnikami „Zorzy” zachwytem nad obfitością niezwykle ciekawych pozostałości:

„...W archiwach tej wsi, a raczej na strychu domu, w którym się mieści urząd gminy leżą sterty starych dokumentów. Grzebiąc w nich wyciąga się na przemian to łaciński akt z wieku XVIII, to półniemiecki, półpolski dokument z roku 1800, lub rozporządzenie z pieczęcią Księstwa Warszawskiego...”

Wśród tych, urzekających swoją powagą staroci, znalazły się zarządzenia, zabraniające Kurpiom swobodnego wejścia do borów i pielęgnacji pachnących miodem bartnych pni, także i surowe zakazy darcia lipowego łyka, służącego do wyplatania obuwia. Pruska, planowa gospodarka leśna wkraczała do żywiołowego dotąd bytowania Puszczy.

W cieniu wielkiej bitwy ostrołęckiej 1831 roku, która wpłynęła ostatecznie na sychłkowy przebieg Powstania Listopadowego, znalazła się bitwa inna, uwieczniona zapisem na paryskim Łuku Tryumfalnym. Mamy na uwadze ostre zwarcie wojsk francusko-rosyjskich w pierwszej dekadzie stycznia 1807 roku. Po krwawych bojach, z poważnymi po obu stronach stratami, doborowe pułki armii napoleońskiej osiągnęły miasto, kierując się ku dawnej granicy wschodnio-pruskiej. Zajmujący kwatery general Marulaz odnotował między innymi w liście sprawozdawczym:

„...Most jest tu dwuczęściowy, rozdzielający łąkę piaskową. Część pierwsza spalona i połamana, a druga spalona. Naprawa wstępna, umożliwiająca przeprawę piechoty, zostanie ukończona jutro rano. Całkowita odbudowa potrwa od 7 do 8 dni. Drzewo na odbudowę trzeba będzie sprowadzić z Dylewa...”

Rzecz uwidoczniła, że dotychczasowy, nie zawsze godny gospodarskiego rozsądku wyręb, ogołocił południową część Puszczy Zielonej z grubizny dość niepokojąco i daleko w głąb. W pościgu za ustępującymi pośpiesznie najeźdźcami rosyjskimi, drogą i rozdrożami od Zawad ku wschodowi, także po skutej lodami Omulwi, przeprowały się wojska francuskie, o czym natychmiast donosił swemu zwierzchnictwu generał Soult:

„...Mieszkańcy lewego brzegu żyją bez wyjątku w wielkiej biedzie i wiele wycierpieli z powodu zniszczeń, uczynionych przez wojsko rosyjskie, ale są dobrze do

nas nastawieni. Zatrzymali i doprowadzili do naszych 16 piechurów rosyjskich, należących do kolumny, która wycofała się do Lipnik. Dostarczyli także chleba i owsa naszym kawalerzystom, czego im było brak. Zrobimy wszystko, aby utrzymać to dobre nastawienie. Do 9 stycznia trzy duże oddziały rosyjskie widzieli Francuzi w Lipnikach, Nasiadkach i Stanisławowie. Każdy z nich miał liczyć około 4 tysięcy ludzi. Wysyłały one patrole do Kadzidla i Dylewa...”

Krótki był odpoczynek zmęczonego bojem żołnierza znad Sekwany pod strzechą kurpiowskich zagród. Bardzo jednak ułatwił przyśpieszony zaciąg młodych Puszczaków Mazowsza do oddziałów odradzającego się wojska polskiego, które pod sprawnym dowództwem pułkowników Szremera i Zawadzkiego wyróżniły się w walkach z najazdem austriackim. Być może nie uległ jeszcze zniszczeniu imienny zapis tych dzielnych obrońców ojczyzny, wśród których zajaśnieją nazwiska dylewiaków i okolic. Najprawdopodobniej byli oni po powrocie do chałup roznosicielami wyzwolenieckiego społecznie ducha i obywatelskich nawoływań Tadeusza Kościuszki, co ujawniło się wkrótce zbiorowym wystąpieniem wobec miejscowych prześladowców i wyzyskiwaczy.

„...Ludzie ci, wolni od pańszczyzny, opłacający tylko czynsze, trzeźwi, przemysłni i pracowici, byli przed dziesięciu laty najzamożniejsi z włościan, osiadłych w tu-tejszym powiecie, dziś zaś nie są w stanie opłacić regularnie podatków i znieść ciężarów publicznych. Byłoby to wielkim upadkiem dla tych 13 tysięcy kmieci, zgubą ogólnego dobra powiatu i uszczerbkiem znacznym ogólnego dobra kraju, gdyby on dalej mógł podobnie administrować tą gminą...”

Miał na uwadze wójta Krzyżanowskiego. Ale — jak poucza mądrość ludowa — Bóg wysoko, cesarz daleko. Wprawdzie nie skłonny do ustępstw Majerowicz ponowił skargę do najwyższych czynników Królestwa, tyle jednak wskórał, że jawnym rozbojem dylewskiego wójta zająć się mieli nowi pełnomocnicy w osobach Małasze-wicza i Bronikowskiego, którzy klucząc znanymi sobie drogami nigdy już nie roz-poczęli nawet powierzchownego dochodzenia. Sprawa upadła, krzywda pozostała.

W roku 1892 wizytował Puszczę proboszcz parafii goworowskiej ksiądz Antoni Brykczyński. Uczestnik Powstania Styczniowego, znawca architektury sakralnej, pozostawił na łamach „Biesiady literackiej” wiele ciekawych spostrzeżeń etnograficz-nych i krajobrazowych. Przerażała go wszechogarniająca pustka, trud pokonywania sypkiej drogi, przypominającej afrykańską Saharę:

„...Po drodze spotykamy jedną tylko wieś, ale za to co się zowie — Dylewo. Naprzód zwraca uwagę naszą oddzielny sposób budowania chat — wszystkie one szczytem zwrócone do drogi, przednia ta część domu była zawsze upiększana w ten sposób, że gwoździe, którymi przytwierdzone są deski, przybija się przez kawałek blachy lub skóry, co jako w odstępach regularnych umieszczone, rodzaj ozdoby stanowi. Zauważyłem też nieraz na szczycie imię Jezus, pana Jezusa na krzyżu, lub datę, a okiennice bardzo często w malowane kwiaty, przedstawiające rodzaj heral-dycznej linii jednego zawsze typu...”

Względna, ale też i dostrzegalna zamożność szła pod rękę z upodobaniem piękna, wspartego własną pomysłowością. Jakie były proporcje motywów religijnych i świeckich, nie sposób już dziś przedstawić. Długoletnim dzierżawcą, później też właścicielem dylewskiego majątku, był znany ze swych patriotycznych postaw Klemens Żbi-

kowski, uczestnik „ruchawki” 1863 roku. Jego syn pełnił obowiązki sędziego gminnego w Kadzidle, wzorem ojca pełen szacunku dla kurpiowskich współmieszkańców. W przeddzień dni 1888 roku, na miejscowym placu przykościelnym zatrzymało się trzech młodych wędrowców: Gebel, Morgentaller oraz Ignacy Mościcki, wszyscy trzej studenci Uniwersytetu Ryskiego, ciekawi życia ludu, który według powszechnie krążących wieści bardziej niż ktokolwiek cenił wolność i przywiązanie do ojczyzny. Przyjmowani gościnnie pod powałą cienionego sosnami dworku dylewskiego, po całonocnych rozmowach, wczesnym rankiem dnia następnego ruszyli konnym pojazdem ku ostrołęckiej stacji kolejowej.

„...Nie ujechaliśmy jednak dalej poza ogród otaczający dwór, gdy zostaliśmy zaalarmowani okrzykami młodego Żbikowskiego, pędzącego na przełaj przez ogród za nami. Tuż za nim podążał z rozwianym włosem stary ojciec jego. «Czy to czasem nie Faustyn był pana ojcem?» — zwrócił się do mnie zadyszczanym głosem. Otrzymawszy potakującą odpowiedź, rzucił mi się na szyję i z rozrzewnieniem opowiadał, jak to ojciec mój był jego naczelnikiem w powstaniu. Prosił nas na wszystko, aby zawrócić do dworu i przynajmniej jeden dzień jeszcze z nim pozostać. I bylibyśmy niewątpliwie uczynili zadość temu, tak z serca płynącemu zaproszeniu, gdyby nie wielka tęsknota do naszych najbliższych...”

— wspominał po latach późniejszy prezydent niepodległej Polski. Podziwiana przez tajemniczych wędrowców barokowa świątynia kadzidlańska, to wynik pomysłowości i energicznych poczynań tutejszego proboszcza, księdza Konstantego Rejchla. Urodzony w Staroźlebach koło Płocka, po objęciu kurpiowskiej placówki duszpasterskiej natychmiast przystąpił do dzieła swego, nie tylko kapłańskiego pśłannictwa. Upowszechniony wówczas rozwój nowego budownictwa sakralnego przyczynił się do wandalstwa wobec krzepko jeszcze trzymających się kościołów drewnianych, ozdobie rodzimego krajobrazu. Jako jeden z nielicznych niestety duchownych postąpił Rejchel, przedłużając używalność kadzidlańskiej świątyni o dalsze stulecia. Przeniesiona do Dąbrówki stoi do dnia dzisiejszego i służy modlitwie kurpiowskiej ludności. Jeszcze pozorna tylko drobnostka, dotycząca konsekracji nowego, kadzidlańskiego kościoła. Dokonana została 26 maja 1887 roku, dokładnie w rocznicę bitwy ostrołęckiej. Przypadek czy świadoma decyzja? Toteż, kiedy po kilku latach ksiądz Konstanty obchodził złote gody swego kapłaństwa, głównym oratorem uroczystości był Mateusz Perzon z Dylewa Starego;

*Dziękujemy Tobie' o nasz przewodniku,*

*Calego tu ludu drogi kierowniku.*

*Stajesz między nami i słuchasz z ochotą,*

*Nie gardząc Kurpiami, ani ich prostotą...*

Przymykając oczy na nieporadność stylistyczną, wyrastającego z opłotków chłopskich rymotwórcy, zwróćmy uwagę na więź, łączącą, wykazującego bezsporny talent gawędziarza ludowego, z miłującym Puszcę Zieloną duszpasterzem. Według osobistych możliwości wiele wyświadczył on usług dla wydarcia kadzidlańskich borów z przysłowiowego zapiecka. Wymownym tego znakiem będzie m.in. powtarzana w dwóch kolejnych

numerach „Gazety Świątecznej” winieta, przedstawiająca pierwszy w dawnej zagajnicy myszyńskiej murowany kościół, po obydwu zaś jego stronach rodzajowe, spokojem tchnące widokówki: na jednej z nich dorodne, sposobione pod okiem gospodarzy krowy w jarzmie, następna wykazuje zamaszystą, cepami wykonywaną młockę zboża, przy otwartych wierzach obszernej stodoły. Na krajobrazowym tle Kurpiowszczyzny, alegoryczne ujęcie Jubilata z okazji 50-lecia święceń kapłańskich przedstawił poszukiwaczom rzeczy krajowych, układany dla Ponarwia „Tygodnik Ilustrowany”. Niepokojąco przedstawiał się jednak stan miejscowej oświaty, bez której nie można przystąpić do jakichkolwiek działań uzdrowicielskich.

„...Wszystko by u nas było jako tako, tylko to najgorsze, że szkoły nie mamy. Jest kilka wiosek takich, a mianowicie: wieś Obierwia, Olszewka, Szwendrowy Most, Łodziska, Chudek, Czarnotrzew i Gleba, od których we wszystkie strony daleko do szkoły: najbliższa szkoła jest w mieście Ostrołęce o osiem wiorst, a druga we wsi kościelnej Kadzidło o dwanaście wiorst. Na tę ostatnią opłacamy składkę, ale o posyłaniu do niej dzieci od nas nikt nie pomyśli. Jakież to dla nas nieszczęście, że dzieci nie mają się gdzie uczyć, bo tak daleko posyłać ich nie sposób...”

— skarżył się przed czytelnikami pierwszego numeru lipcowego „Gazety Świątecznej” 1887 roku „listem z gminy Dylewa” Józef Pawłowski. Położenie dość przykre, upodobnione pod tym względem do całej Puszczy Zielonej i przyległych okolic. „Komóż to najpierw należy się odezwać w tej sprawie” — rozważa następnie odważny mieszkaniec gminnej siedziby, udzielając natychmiastowej odpowiedzi:

„...Chyba pan wójt powinien przemówić do sołtysów, a sołtysi do mieszkańców wiosek. Spodziewam się, że pan wójt, dopiero w tym roku obrany, nie zamilczy o tym. Byłoby to dla niego chwalebne i zaszczytne, gdyby tę sprawę potrafił załatwić...”

W końcowych rozważaniach zwraca się z troską Kurp o poradę do redaktora „Gazety”. Ten wypróbowany już zwyczajem podsuwa myśl o konieczności rozbudzenia inicjatyw społecznych:

„...Nie koniecznie sam wójt, ale ktokolwiek pojmujący rzecz powinien pogadać o tej sprawie z roztrośniejszymi i poważniejszymi gospodarzami w każdej z tych wiosek, dla których nowa szkoła jest potrzebna. Gdy ich przekona, niech namówi, aby porozumieli się ze swymi sąsiadami. Jak już w ten sposób grunt zostanie przygotowany, wtedy gospodarze wszystkich wiosek powinni zebrać się w jedno miejsce, zaprosić wójta, jeśli by on sam ich nie zwołał, pod jego przewodnictwem wspólnie naradzić się i ułożyć uchwałę. Wójt sam, lub przy pomocy pisarza gminnego, obowiązany jest wpisać tę uchwałę do księgi, a następnie zawiadomić o niej naczelnika dyrekcji naukowej...”

A zatem proste, bez niedomówień wezwanie do spowodowania faktów dokonanych. Minęło dwanaście miesięcy, kiedy „Gazeta Świąteczna” wydrukowała nowy list Józefa Pawłowskiego. Doniesienie to pełne gorczy i zawodu, mimo podejmowanych prób garstki ludzi światłych i z troską o pomyślniejszą przyszłość wsi kadzidlańskich borów:

„...Nie bardzo wesołą mam nowinę z naszej okolicy. Ludzie niektórzy nie chcą przyjmować tego, co jest pożyteczne i potrzebne, ale wolą pozostawać w ciemnocie. Nie wszyscy są tacy, ale cóż z tego, kiedy ci, co są po złej stronie, taką często mają

moc, że i dobrych prędko za sobą pociągną. Jak położyć razem dwa jabłka, jedno zdrowe, a drugie chore, to cóż się zrobi? Wiadomo o tym każdemu, że nie naprawi się chore od zdrowego, ale zdrowe zagnije od chorego...”

Uwaga trafna, porównanie godne wyrobionego praktycyzmu chłopskiej spostrzegawczości. Wydarzenia miejscowe mogły wywierać poważny wpływ na rozbudzanie i utrwalanie świadomości narodowej wśród Puszczaków Mazowsza. Bardziej niż ktokolwiek ulegał mu wcześniej wyrastający ponad poziom wioskowy Piotr Kaczyński, przekorny wobec środowiskowego nastawienia, wymagającego ożywczych bodźców rozwojowych. Sprzymierzeńcem i pośrednikiem dla synowskiego zrywu była wysokiej klasy świadomość piotrowego ojca, wspieranego zasiedziałością rodu, wzorową gospodarką i motywacją osiągniętych już wpływów. Należało je tylko poszerzać i umacniać. Zobowiązanie społeczne trudne, ale w końcu przecież osiągalne.

Mimo wybujałego przyrostu naturalnego, charakterystycznego nie tylko dla dylewskiej gminy, letnią porą cała bez wyjątku Puszcza Zielona pustoszała. Cierpiały na tym zagrody, upadało i tak niedostatecznie uporządkowane rolnictwo. Smutnych pozostałości wieków nie było niestety komu odbierać. Na zagonach niezmiennie, bez lepszych widoków na przyszłość „brat brata rodził”, w oborach krowy skąpo mlekiem obdarzały, przy chałupach śladowo tylko ujrzyć można było ledwie dychające drzewko owocowe.

Ubóstwo kurpiowskie, obok nędzy góralskiej, weszło już do polskiego nazewnictwa. Różnymi drogami i bezdrożami wchodziło ono do zastygłych wiosek nad Pisą, Rozogą i Omulwią, o każdej porze roku strasząc miszkańców głodem, szczególnie na przednówku, przed osiągnięciem oczekiwanych niecierpliwie zbiorów. Jedynym wówczas, możliwym do spełnienia ratunkiem była wyprawa w odległe kraje, lub za pobliską granicę, dzielącą Królestwo od Mazur i Warmii, i gdzie oczekiwały tanich robotników rolnych niemieckie majątki i obszerniejsze gospodarstwa.

Powrót do rodzinnej wioski, choć wsparty pewną sumą pieniężną, zmartwiały był i przygnębiający. Nie tyle dokuczliwa rozłąka z najbliższymi, co powaga utraconych sił i zdrowia, próby oszustwa przy wypłacie należności, także sposób odnoszenia się do obcych najemników, przy zupełnym braku samoobronnych możliwości nie dał się pogodzić z osobistą postawą. Mówi o tym urywek zachowanej przysłówki:

*Powiadają ludzie..*

*Że u Niemca dobrze,*

*A tam robić trzeba,*

*Aż się skóra podrze.*

Tułaczym śladem całej Puszczy Zielonej ruszyli mieszkańcy Dylewa. Według dokładnych obliczeń Adama Chętnika, z liczącej 175 chałup wioski, w latach poprzedzających pierwszą wojnę światową, do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej wyjechało ponad czterysta osób. Natomiast w jednym tylko 1912 roku na roboty sezonowe do Prus Wschodnich przestąpiło granicę 129 mężczyzn i 88 kobiet. Około 40 tysięcy rubli zza oceanu wypłaciła poczta rodzinom samego tylko Dylewa. Zasilek istotny, który wydatnie podniósł samopoczucie gospodarzy o odsłonił możliwości zarobkowe odkrytych przez Kolumba obszarów Nowego Świata. Nie sama przecież



bieda wywoływała ten odpływ żywotnych sił cząstki kadzidłańskiego ustronia. Z naderżających się możliwości korzystała skwapliwie niechętna do rosyjskiego wojska młodzież wieku poborowego, dołączali do niej poszukiwacze osobliwych wrażeń i przygód podróŜowania. Natura ludzka nie znosi przedłuŜającej się beznadziejności zasiedzenia.

„...Przy dobrym urodzaju ziarno nie więcej nad cztery wydać moŜe z wyjątkiem niewielu kawałków lepszego gruntu, który i tu się znajduje. Do takich szczęśliwych wiosek naleŜy gmina Dylewo, na trakcie między Myszyńcem a Ostrołęką...” — stwierdził na łamach „Tygodnika Ilustrowanego”, podróŜujący tu wiosną 1881 roku, urodzony w Ostrołęce, Wiktor Czajewski. Minęło pełne trzydziestolecie, kiedy nieutwardzonym jeszcze gościńcem pedałując na dwukółku ciągnął z Myszyńca ku Narwi Kazimierz Moszyński, początkujący jeszcze etnograf, po latach wybitny profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego. Przygnębiała go między innymi ubogość kurpiowskiej gleby, czemu dał wyraz drukowanymi na łamach „Ziemi” 1911 roku uwagami:

„...Za Wachem krajobraz zmienia się nieco, a między Siarczą Łąką, Kadzidłem i Dylewem jest nawet dość oŜywiony i zupełnie przypomina ostrowski. Jednak juŜ wkrótce za Dylewem powracają piaski kurpiowskie, liche sosny i wilgotne, do pastwisk podobne łąki...”

Czas nie śpieszył się tu bynajmniej z koniecznością przemian, niewiele dokonał oczekiwanych ulepszeń, jak gdyby znieruchomiał na przedpolach Wiosny Ludów, kiedy to czmychając gąszczami przed pościgiem Ŝandarmerii rosyjskiej, przemierzał Puszczę Myszyńską Teofil Lenartowicz:

*Szumi bór, szumi las,  
Sosna rośnie smolna,  
ZboŜa nic, piasków pas,  
Ale dusza wolna...*

Niepodległa myśl, popędzana wiatrem obywatelskiej swobody, bardziej tu, w kadzidłańskich borach, niŜ gdziekolwiek pod polskim niebem osiągnęły między sobą trwałe przymierze. Lud Puszczy Zielonej, przy nikłej nawet świadomości narodowej, wykazywał zadziwiającą wraŜliwość na obcy etnicznie wynik sprawowania rządów.

### III

Pozostająca przez długie stulecia osadniczą pustką zagajnica myszyńska i kadzidłańskie bory poczęły się zaludniać po wygaśnięciu szwedzkiego pochodu najezdniczego. Nie wyklucza to jednak wcześniejszych prób zachęcania ludności do stałego zapadania w kurpiowskie knieje. Zachęcona korzystnymi warunkami starosty ostrołęckiego Andrzeja Mniszka upatrzyła sobie Dylewo podupadła majątkowo rodzina Kaczyńskich, przyjmując nadanie siedmiu łanów urodzajnego pola, co w przybliŜeniu równało się tyłuŜ dzisiejszym włókom. Obszar to znaczny, wymagający sprawności zarzadzania, której nie zabrakło nowym właścicielom. Dość jednak pośpieszne działa

rodzinne uszczuplały na tyle stan posiadania nosicieli herbu Leliwa, że niebawem zmuszeni już byli do innych, pozarolniczych środków utrzymania. Najczęściej przyjmowali dość miernie wynagradzane stanowiska strzelców puszczańskich, jako, że broń palna dodawała powagi i możliwości różnych przygód. Szybciej niż się spodziewano doszło też do kojarzeń ślubnych z okolicznymi rodzinami chłopskimi.

„...W końcu wieku XVII są oni na Puszczy gajowymi i polowymi i prawdopodobnie trzymają się klamki dylewskiego dworu, bliscy zatonięcia w morzu „uczciwości”. Dawid Kaczyński, podówczas zamożny bartnik i stale używający w aktach przydomka «szlachetny», córkę swoją wydaje za prostego Kurpia Zyska, vel Zysyka z Dąbrów. Jednocześnie w tym samym Dylewie mieszka przedstawiciel widocznie młodszej rodziny, który już często jest tylko «uczciwym»...”

— stwierdził na podstawie udostępnionych źródeł Ludwik Krzywicki. Herb Kaczyńskich Pomian wyraża się dość przejrzystą czytelnością. Tarcza jego w górnej części podtrzymuje opancerzoną, zgiętą prostopadle w łokciu i obejmującą miecz rękę, na złożonym zaś polu widnieje czarny, sieczną bronią przebity ukośnie łeb, zabezpieczonego dla królewskich łowów żubra. Macierzystym siedliskiem rodu były podostrołęckie Kaczyny, z dodatkiem osadniczym wsi Pomian. Tak w staropolskiej mowie zwano porozumiewawcze nawoływania służby, krążącej wśród przestrzennych, łatwych do zabłądzenia nadnarwiańskich obszarów puszczańskich. Wszystko to razem świadczyło, że ów zadawiony tu ród ocierał się podmiotowo o znajomość gospodarki borowej, co nie przeszkadzało bynajmniej powinnościom rycerskim. Nękanie podstępnyimi najezdami Litwinów, Jaćwieży, Prusów, także i sąsiadujących opodal Krzyżaków, Mazowsze północne za panowania udzielnych książąt wymagało orężnej gotowości i czujnego wypatrywania skrzykujących na wojaczkę wici.

Okolo roku 1670 znany z przedsiębiorczości i mądrości zarządzania podstarości ekonomii ostrołęckiej Stanisław Brzostowiecki umyślił sobie powołać na dylewskich gruntach folwark. Wykroił z niego i przeznaczył do karczunku pokaźny zasięg Puszczy, a chcąc przyspieszyć zgarnianie oczekiwanego dochodu, postanowił z mocą natychmiastową wyokrąglić dworskie posiadłości ziemią nadaną już przyległym osadnikom. Jednakże kosa trafiła na przysłowiowy kamień. Zawirowało wśród Chludzkańskich i Piersów, Chutkowskich i Zacharków, Gadomskich i Parzychów jako, że groźba utraty gospodarstw i narzucenie pańszczyźnianego odrobku zawisła nad wszystkimi wioskami Kurpiowszczyzny. Przywódczą rolę w powstrzymaniu tego niebezpieczeństwa przyjęli „urodzeni” Dawid i Maciej Kaczyńscy. Potrząsając znakami herbowymi, umożliwiającymi dojście do wszystkich stopni wymiaru sprawiedliwości, wygrali wszystkie procesy sądowe. W Makowie, Różanie, Łomży i dalej. Czy dochodziło do zbiorowych rękoczynów — nie wiadomo, choć nie wyklucza się takich możliwości, znając zapalczywość obydwu stron powaśnionych.

W roku 1856, często odbiegający od ukierunkowań własnego tytułu „Przegląd Religijno-Moralny” zamieścił dość szczegółowy „Opis poświęcenia kościoła we wsi Kadzidło, w starostwie ostrołęckim i uroczystego obchodu imienin księdza biskupa plockiego Michała Jerzego Ciolka Poniatowskiego roku 1783 wyjęty z akt kościoła”. Po dokumentach tych nie zostało już niestety jakichkolwiek śladów, a znaczące dla zagajnicy wydarzenie rozpoczęło się 27 września procesjonalnym wprowadzeniem

do obszernej, ze starodrzewnych bierwion wzniesionej świątyni, plockiego, zasiadającego w Pułtusk sufragana, księdza Antoniego Narzymskiego. A wszystko to razem, jak przystało dla wysokiej miary purpuranta i innych znakomitości „przy odgłosie dzwonów, armat, moździerz”. Mowę powitalną trzymał tutejszy proboszcz Antoni Szwejkowski, szczególnie zaś „imieniem Jaśnie Pana Antoniego Małachowskiego, sekretarza Wielkiego Koronnego, jako fundatora tego kościoła”. Nazajutrz — godziny zasłużonego, a wypełnionego cichymi rozmowami odpoczynku, — potem długo trwający i urozmaicony wymyślnymi toastami obiad, gdzie:

„...Przy odgłosie muzyki i armat spełnione było zdrowie Jaśnie księdza konsekrateora, jako też innych. Po obiedzie ksiądz konsekrateor bierzmował. Dalej były nieszpory uroczyste, przy których miał kazanie Jaśnie ksiądz Turowski, pijar i profesor łomżyński, również do okoliczności zastosowane...”

Najszumniejszy jednak był schyłek, podziwianych nie tylko przez bartników i strażę leśną, uroczystości, których rozgłos obnosił się daleko poza kadzidlańskie bory:

„...Jaśnie ksiądz Szwejkowski, gospodarz, już przez najpowinniejsze przywiązanie ku swemu pasterzowi, już z woli swego fundatora postarał się, aby ten dzień był obchodzony jak najuroczyściej. Z tej więc radosnej okoliczności Jaśnie ksiądz konsekrateor odprawił pontyfikalną wotywę, na której miał kazanie ksiądz Gizicki, kanonik kruszwicki, proboszcz myszyński...”

Daleko jeszcze do końca tych, wzorowo pomyślanych, a przygotowanych z niezwykłą starannością ochodów:

„...Podczas stołu także, gdy Jaśnie ksiądz konsekrateor wznosił zdrowie pasterskie, z armat i moździerzów sto razy ognia dano, stu zaś Kurpików jednobarwnie ubranych z ręcznej broni ustawicznie i długo strzelało...”

Nie sposób dopuścić ku sobie myśli, by wśród dorodnego oddziału wiwatujących Puszczaków Mazowsza zabrakło przedstawicielstwa Kaczyńskich. Także nie wyklucza się możliwości dopuszczenia któregoś z nich do biesiadnego krzesła, jak i powierzenia osobistej odpowiedzialności za sprawność strzeleckich popisów. Należeli przecież Kaczyńscy do miejscowych wybrańców również i u schyłku państwowości polskiej, wspierani klejnotem szlachectwa i własną zaradnością.

O dalszym prowadzeniu się tego, wtropionego w gąszcz kadzidlańskich borów rodu nie mamy wiadomości. Jakie widział on swoje przeznaczenie w bojach kościuszkowskich? W jakim zasięgu wyróżniał się w kurpiowskim oddziale strzelców pieszych pod dowództwem Ignacego Zielińskiego po powołaniu do życia Księstwa Warszawskiego? Czy zasilił partyzantkę Powstania Listopadowego i Styczniowego? Przychylamy się raczej do wniosku, że nie pozostawił po sobie próżni.

Podczas ostatniej wojny światowej okupant niemiecki rzucił na płonący stos całą gminę i parafialną dokumentację Kadzidla. Z dymem uleciał bezpowrotnie bogaty zapis urodzin i zgonów okolicznej ludności. Zawodna i niedokładna jest pamięć człowieka, zagubiona w mnogości wielkich i różnych zdarzeń, jakie ostatnimi zwłaszcza dziesiątkami obniosły się i nad historyczną kurpiowszczyznę. Nadal oporniej strzeże Puszcza Zielona tajemnic przeszłości swojej, nie wyłączając i tej, co jest w zasięgu naszych, osobistych doznań. Oto zasadnicza przyczyna wielu niejasności, występujących między innymi przy ustalaniu dokładnej daty przyjścia na świat Piotra Kaczyńskiego.

„...Był już starszym gospodarzem i wcześniej pracował konspiracyjnie, rozpowszechniając «Polaka», za co już dawniej był prześladowany przez władze...” — wspominał oszczędny w słowach Stefan Julian Brzeziński w źródłowej, pełnej autobiograficznych wątków rozprawie o pracy niepodległościowej pod wezwaniem Polskiego Związku Ludowego. Wiązał zaś pamięć swoją z wydarzeniami z 1905 roku i korzystnym dla Królestwa ich przebiegiem. „Starszy gospodarz” jest pojęciem wielce umownym, często dalekim od wymaganej doskonałości, zwłaszcza gdy polegamy tylko i wyłącznie na obserwacji wzrokowej. Nieznane bliżej nam dzieciństwo i wcześniejsza młodość Piotra Kaczyńskiego owiane było legendą i dramatem Powstania Styczniowego, które tu, na Puszczy Zielonej spotykało się z wyjątkowo czynnym wsparciem. Znacznieszego wykształcenia ponad kilka oddziałów kadziłańskiej szkoły gminnej nie osiągnął, zasób natomiast pogłębionych nieco wiadomości był wynikiem wzmoczonego samouctwa. Pewni jesteśmy, że do Dylewa i okolic zaglądała badawczo oświecicielka siermiężnej strzechy „Gazeta Świąteczna” i „Zorza”, miał tu otwarty dostęp znany powszechnie i polecany „Elementarz Obrazkowy” Kazimierza Promyka, także jego dostępne dla wszystkich wydawnictwa, dotyczące dziejów narodu polskiego i najniezbędniejszych rozwiązań w objęciach solidaryzmu społecznego. Młodzieńczą Piotra wyobraźnię z pewnością niepokoiły żywotne wciąż echa bitwy ostrołęckiej, nie wiadomo kiedy i przez kogo zapoczątkowany obowiązek cichego spluwania przechodniów, mijających pomnik zwycięstwa władz rosyjskich. Powołując się na „Echa Płockie i Łomżyńskie” nazwisko jego rozniosła po kraju znaczna część prasy Królestwa, a to na okoliczność pewnego zdarzenia, świadczącego o radosnych znamionach odrodzielskiego ruchu polskiej wsi. Jak zawsze spokojnym piórem podjął temat również i „Pisarz Gazety Świątecznej” wytrwały oświeciciel polskiego ludu.

„...Dowiadujemy się, że włościanie i gospodarze wsi Dylewa, w krainie Kurpiów między Ostrołęką i Myszyniec, postanowili zawiązać spółkę handlową. Mają oni założyć sklep: mają sprowadzać narzędzia rolnicze, nasiona lepszych zbóż i innych roślin i mają skupować zboże od włościan okolicznych, aby odperzdawać je w większych naraz ilościach: mają sprowadzać całe beczki cukru i innych towarów, aby je odstępować sklepikom po wsiach. Umowa spółki tej będzie spisana u rejenta. Pierwszymi jej założycielami są: Mateusz Perzon, Piotr Pajka, Piotr Kaczyński, Antoni Prusaczyk i Józef Jaworski. Na rozpoczęcie zamierzonych obrotów mają złożyć 1000 rubli. Spodziewają się zaś, że gospodarze z całej okolicy i właściciele sklepów wiejskich chętnie z usług tej spółki korzystać będą, a tym sposobem dadzą jej rozwijać się i wzrosnąć. I my też życzymy jej tego szczerze...”

Zapaleniec takich poczynań, redaktor „Gazety”, Kazimierz Promyk prostuje przy sposobności doniesienie płockiego „Echa” oświadczając, że dylewska spółka nie jest pierwszym tego rodzaju poczynaniem w Królestwie. Już i przedtem pojawić się miały wstępne próby poszukiwawcze różnych stowarzyszeń, skrzykujących ludzi dobrej woli jako, że w pojedynkę nie sposób zaradzić wszelkiemu, a tak bardzo odczuwalnemu społecznie złu. Ile w tym dobrotliwym sporze prawdy jest, a ile szlachetnego zmyślenia nie sposób już dziś rozstrzygnąć. Zastanawia cośkolwiek ostateczne skwitowanie tych, zachęcających do działania uwag:

„...Choć co prawda spółek takich jest jeszcze bardzo mało i dlatego przedsięwzięcie dylewiaków na tym większą pochwałą zasługuje...”

Uzyskała też znaczące wsparcie słowne, przypominające konieczność ściślejszego dozoru nad zaniedbaną u nas czystością materiału siewnego, co może zapewnić dostateczniejszy, niż dotąd bywało, urodzaj zbóż:

„...Spółka dylewska szczególnie wielką może przynieść korzyść włościanom, dopomagając im w sprzedaży zboża. Trzeba jeno, żeby nabyła narzędzia do czyszczenia ziarna i zboże włościańskie sprzedawała nie inaczej, jak po dokładnym oczyszczeniu nie tylko z plew, ale i z wszelkiego pośladu i nasion chwastów. Włościanie nasi bowiem dużo na tym tracą, że zboże ich zwykle jest źle oczyszczone. Dlatego muszą je kupcom zbyt tanio oddawać i do każdego korca dosypywać przynajmniej kilkanaście funtów ziarna więcej, niż korzec ważyć powinien...”

Rozsądna to rada i przewidująca, zważywszy na bardzo niski poziom naszego rolnictwa i postępujące ubóstwo drobnych gospodarstw rodzinnych, szczególnie na Puszczy Zielonej, gdzie głos nowoczesności dochodził wyjątkowo opieszale i nie w pełnych wymiarach.

Pomysłodawcy dylewskiej spółki mieli dość wyrobione rozeznanie w możliwościach jej egzystencji. Gmina była jedną z bardziej rozległych wśród podobnych sobie jednostek administracyjnych dawnego powiatu ostrołęckiego. Podlegały jej wioski: Chudek, Czarnotrzew, Gleba, Jeglijowiec, Karaska, Kierzek, Kuczyńskie, Łodziska, Obierwia, Olszewka, Piaseczna, Siarki, Szafarnia, Strzałki, Siarcza Łąka, Szwendrowy Most i Kadzidło. Gospodarzyła na 18 611 morgach ziemi różnej, która doprowadzona do wyższej kultury uprawowo-hodowlanej mogła sypać dorodniejszym ziarnem i dostawą mleczości. Około 5300 mieszkańców mogło z powodzeniem utrzymać zamierzony skład handlowy, otwarty na różne, nie tylko domowe zapotrzebowania spożywcze, szczególnie, że do miasteczka nad Narwią, z braku bitej drogi, dojazd wyjątkowo był uciążliwy, gdy koła wasągów zapadały po osie w sypki, niemal pustynny piach, lub grzęzły na przemian w mialkim błocie. Zwracało uwagę również rozpowszechnione tu rękodzielnictwo. Dylewskie płótna wędrowały w świat roznoszone dotąd pracownicy na grzbietach domorosłych włókniaerek i włóknarzy. Ułatwić wymianę na gotowy pieniądź, to również zamiar pionierów spółdzielczości kadzidlańskiego boru. Brzask dostateczniejszego życia uśmiechnął się do wybiedzonych dotąd i bezradnych Puszczaków Mazowsza.

■ Czy zamierzona spółka doczekała się upragnionego zrozumienia okolicznych rodaków kurpiowskich? Czy zatwierdzona została pieczęcią ostrołęckiego notariusza? Wszystko przemawia za tym, że zwiędła szybko i bezpowrotnie, przetrącona obojętnością najbliższego przede wszystkim otoczenia. Nie wiemy też z całą dokładnością, kto spośród pięciu wymienionych osobowości był głównym inicjatorem tych, jakże mądrych zamiarów: Mateusz Perzon, górujący doświadczeniem i umiejętnością dogadywania się z władzami administracyjnymi, czy też ubożsi latami, za to kipiący niecierpliwością, rozglądający się wokół i poszukiwawczy ponad miarę Piotr Kaczyński? Od tej pory podane społeczeństwu do wiadomości jego nazwisko weszło na trwałe do zespołu najbardziej zasłużonych budzicieli polskiej wsi i działaczy chłopskiego ruchu politycznego. Ujmujące słówko o korzyściach ze stowarzyszenia ludzi dobrej

woli podsunąć mógł również wcale nieprzypadkowy wędrowiec, wiążący tu z różnym powodzeniem siatkę tajnego, niepodległościowego sprzysiężenia. Nie dla krajoznawczych rozeznań była przecież omawiana już wizyta Konstantego Długoborskiego, przedstawiciela Towarzystwa Oświaty Narodowej, którego zadaniem było przyspieszenie wrastania ludu w naród. Nie dla przysłowiowego, a obcego chłopskim pojęciom, zabijania czasu była wyprawa Piotra Kaczyńskiego do Długoborza, gdzie po ominięciu różnych przeszkód i niespodzianek obskoczony został niebezpiecznie przez tęgą sferę uwolnionych z łańcucha psów, nocnych stróżów spokojnego snu każdej zagrody. Skończyło się szczęśliwie tylko na strachu i poszarpaniu nogawek.

Wzorowy rolnik Łomżyńskiego Podlasia, znany czytelnikom „Gazety Świątecznej” z przygodnych wypowiedzi, właściciel nowoczesnie prowadzonej pasieki, nie wyłączną ciekawością podpatrywania bogatych tradycji bartnych kurpiowszczyzny ciągnął do dylewskiego zacisza. Z całą pewnością dźwigał pokaźną porcję zakazanej literatury, której oczekiwali wtajemniczeni mieszkańcy kadzidlańskich borów. Wśród ściganych policyjnie druków szczególnym wzięciem cieszył się przemycany z Krakowa „Polak”, pismo o nastawieniu patriotycznym, przeznaczonym dla odbiorców niżej podstawowego wykształcenia. W dawnym ostrołęckim powiecie ośrodkami rozdzielania zakazanych wydawnictw były: Susk, własność dworska Władysława Glinki i dylewski dworek Żbikowskich, nawiedzany dość często pod różnymi, oficjalnymi pozorami przez wysłanników gubernialnej Łomży. Ułatwiała to trudne zadanie wspólnota administracyjna obszarów, gdzie, wykorzystując polecenia urzędowe, można było przyczynić się do obywatelskich dokonań.

„...Poczuciem siły napelniała nas wszystkich świadomość, że tak jest wszędzie, jak Polska długa i szeroka, ta Polska, która teraz w naszych myślach i naszych uczuciach stawała się znowu jedną żywą całością. Trójzaborowość, wszechpolskość organizacji, pracy o myśli politycznej stała się nagle nowym i potężnym czynnikiem życia narodowego”... — wspominał po latach (*Nad Pissą, Wissą i Narwią*, 1965) obserwator i uczestnik tych wydarzeń, Bohdan Winiarski. Być może do końca nie rozwiązana zagadką pozostanie znajomość Piotra Kaczyńskiego z bardzo młodym wówczas, ale znakomicie wdrożonym już działaczem Towarzystwa Oświaty Narodowej Adamem Chętnikiem. W niedalekiej przyszłości zasłużony etnograf i znawca potrzeb kurpiowskich dość wcześniej krążył po wioskach i osadach puszczańskich, by sposobie je do powitania Polski niepodległej, z uwzględnieniem własnych zapisów ludoznawczych. Brak nam dotąd stanowczego potwierdzenia o bliższej więzi ideowej i osobistej tych, zasłużonych dla dawnego pogranicza jednostek.

Od połowy 1897 roku miała Ostrołęka stałe połączenie kolejowe ze stolicą. Wzmogło się od tej pory czytelnictwo prasy tygodniowej i codziennej, łatwiejszy był dostęp wydawnictw nielegalnych. W dalszym jednak ciągu rozrzut ich polegał przede wszystkim na ofiarności godnych zaufania domokrażców, pokonujących, gdy zaszła potrzeba, dziesiątki kilometrów, osiaganych sprawnością własnych nóg. Puszcza Zielona i przyległe do niej obszary poddane były przeciwieństwu wzmoczonej kontroli służb rosyjskiego pogranicza. Z właściwą sobie zręcznością wymijał je Piotr Kaczyński. Parciany jego strój, cięta wiatrem twarz, stwardniałe od pracy przy pługu dłonie myliły czujność władz spod znaków dwugłowego orła. Wszyscy dojrzałeś i dojrzewający

narodowo mieszkańcy kurpiowskich zagród żyli oczekiwaniem własnej, niepodległości państwowej.

#### IV

Chodem przyciszonym, ale stanowczym, nabierając tchu i powietrza po zagajnikach i bezdrożach wnikała ona do Puszczy Zielonej. W miarę jednak zbliżania się Jej majestatycznego wizerunku, nastąpiły coraz to wyraźniejsze, coraz bardziej odczuwalne załamania wielu, przyjmowanych dotąd bez większego namysłu pojęć, dotyczących konieczności rozwiązań ustrojowych. Rzucane ongiś piórem Zygmunta Krasieńskiego zawołanie „z polską szlachtą polski lud” wydało się już podejrzane społecznie i przebrzmiałe wobec wyraźnych nastrojów emancypacyjnych rozbudzonej klasowo naszej wsi. „Starsi bracia” z białego dworku i przysłowiowych „pawich piór”, zdobiących nakrycia głowy „dobrze urodzonych”, nie zamierzali ustąpić z nabytych stuleciami przywilejów. Świadomy obywatelsko chłop kadzidlańskich także borów nie życzył już sobie dokuczliwego opiekuństwa stanowego. Pozorna wspólnota założeń ideologicznych również i Towarzystwa Oświaty Narodowej wykazywać zaczęła wewnętrzne, trudne do ukrycia szczeliny. Łagodząc nastrój pogłębiających się nieufności, dostrzegł je na przykładach ziemi łomżyńskiej znany już nam Bohdan Winiarski:

„...Nie było żadnych wzajemnych niechęci, żadnych różnic prócz tych, jakie naturalnie wynikały z różnej tradycji i często odmiennego obyczaju. Jeśli wyjątkowo powstawały waśnie, usuwaliśmy je najbardziej stanowczo. Kiedy członek jednego z kół, szlachcic, w pasji powiedział do innego członka, chłopca: „mój ojciec twój ojca prał kańczugiem, jeszcze i ja ciebie będę”. Tą, niezwykłą sprawą musiał się zająć nasz sąd organizacyjny...”

Łagodząc umiejętnie sprawę, powiedziano bardzo wiele. „Błękitnej krwi” rzuciła wyzwanie robotnicza i chłopska czerń Królestwa, ujęta m.in. programem powołanego z końcem 1904 roku Polskiego Związku Ludowego. W miarę swoich bardzo uszczuplonych możliwości konspiracyjnych wypełniał on dotychczasową pustkę organizacyjną i otworzył wejście do mazowieckich wsi chłopskiemu ruchowi politycznemu. Pozbawiony uciążliwego opiekuństwa, mimo trudności organizacyjnych i materialnego podłoża, stał się on faktem dokonanym.

„...Teraz własnymi siłami zabieramy się do pracy, bo czas już wielki, aby chłop polski zamiast to temu, to temu się przypodchlebiać i wiadomości jeno zbierać — wziął się sam do czynu, jak sam staje do pługa, jak sam staje do siewu. Jak sam orzesz i zasiewasz chłopie swój zagon ojcowy, tak zoraj i zasiej swoje życie gromadzkie, społeczne i narodowe. Stań się obywatelem. To znaczy — otwórz swe oczy nie tylko na wieś, w której mieszkasz ale szerzej, jak najszerzej...” — wzywała odezwa, wobec której nie można było spocząć obojętnie, bez cisnącej się zadumy politycznej.

„...Stanowiąc Polski Związek Ludowy, to przede wszystkim mamy na widoku, aby co rychlej utworzyła się taka samodzielna siła ludowa. A gdyby nam kto prawil,

że w ten sposób działamy na szkodę jedności narodowej, to mu powiemy, że jest faryzeusz i kłamca. My chłopci, podobnie jak robotnicy, jak wszyscy i wszędzie, musimy łączyć się w imię naszych potrzeb i interesów. Takie połączenie da nam właśnie jedność i siłę...”

— czytamy dalej w posłaniu, datowanym 3 maja 1905 roku. Tak nastawiony ideologicznie Związek nie ominął, nie mógł ominąć także i ziem dzisiejszego województwa ostrołęckiego. Na czołowe miejsce wysuwa się Mieczysław Dębski, właściciel starannie urządzonego majątku Rycice koło Chorzel. Znając dobrze układ i możliwości dawnego pogranicza, przyczynił się do sprawnego i bezpiecznego przemytu broni palnej, którą zamawiano w zakładach rusznikarskich w Gnieźnie, Toruniu, a nawet Berlinie. Składowaną u życzliwego polskiej sprawie karczmarza w Opaleńcu zręcznie przerosił ją nocami leśniczy Ryszard Sokolnicki, przerzut zaś rewolwerów do Warszawy był specjalnością Stanisława Rykowskiego, młodego właściciela sąsiadującego opodal majątku. Tymże samym, wypróbowanym już gościńcem szły do Królestwa nie mniej ścigane ulotki, broszury, czasopisma i książki. W Budkach, koło Zaręb, gotowy do usług oczekiwał Franciszek Rogalski. Specjalnością pochodzącego z Udrzynka, a nauczającego w Długosiodle Stanisława Najmoły było użytkowanie przydzielonej mu drukarenki. Należał on do najściślejszego zespołu ludzi centralnie sprzyśniętych, z przydziałem broni palnej oraz prawem uczestnictwa i głosu decydującego w ważnych naradach. Chętnie korzystano z jego umiejętności i doświadczeń przy obmyślaniu treści i ostatecznym zatwierdzaniu często wydawanych odezw i innych, nawołujących do działania druków. Wyrobiony i płomienny mówca, pełen chwytliwych pomysłów, wychowanek seminarium nauczycielskiego w Siennicy, koło Mińska Mazowieckiego. Szczególnym rozgłosem cieszył się więc, zwołany letnią porą gdzieś do leśnego ustronia między Długosiodłem a Białym Błotem. Pod osłoną księżycowej nocy przybyło kilkuset okolicznych mieszkańców, by rozradować serca swoje wieścią o Polsce wolnej i sprawiedliwej, która łamiąc przeszkody, bliska już była oczekiwaniom spragnionego swobód obywatelskich pokolenia. Patriotyczny nastrój tego, przedłużającego się wieczoru zatrzymał w pamięci towarzyszący Najmołe w różnych poczynaniach Mieczysław Dębski, któremu godziwy odpoczynek i bezpieczeństwo zapewnił rządca miejscowej leśniczówki, nie stroniący od antyrządowego spisku Mierzejewski. Udział w zwoływaniu tej narady Piotra Kaczyńskiego jest więcej niż pewny.

Po uchwale, żądającej polskiego języka w szkole i urzędzie, opuścić musiał Najmoła Puszcę Białą. Wytrwał w niej natomiast Antoni Abramczyk z Ochódna, postać wyróżniająca się bogactwem pomysłowości dla rozwoju rodzinnych okolic. Żywotnością swoją zadziwiał Stanisław Nosek, właściciel gospodarstwa w Troszynie i Adam Rytelewski z Poręby, pionier ludowego ruchu młodzieżowego przede wszystkim stron wyszkowskich. Odwagą przerastał wszystkich Piotr Kaczyński. Wysoką ocenę wystawił mu wspomniany już Stefan Julian Brzeziński, przywódca Związku, autor opracowanej o nim obszernej monografii:

„.....Rozwinął szeroką działalność zarówno w rodzinnym Dylewie i okolicy, jak też i w całym powiecie ostrołęckim, podejmując dalsze wyprawy do powiatu ostrowskiego. Organizował więc akcję szkolną i gminną, urządzał wiece i zebrania, na które dojeżdżał także Stanisław Najmoła, według którego Kaczyński był najwybitniejszym



działaczem włościańskim w tym okręgu. Znany już policji i żandarmom ulegał niejednokrotnie prześladowaniom także i za pracę w Polskim Związku Ludowym...”

Nie mamy bliższych wiadomości o ostatecznym nakryciu policyjnym Kaczyńskiego. Być może osaczony został we własnej zagrodzie, nie można też zaprzeczyć jego wytopienia gdzieś na pobliskich obszarach, kiedy ufny w umiejętności gubienia po sobie tropów, obciążony „bibułą” wędrował po wioskach, roznosząc nowinę bliskiego wyzwolenia. Późną jesienią 1905 roku znalazł się za kratkami ostrołęckiego więzienia. Dano mu do wyboru dwie możliwości: wywózkę do jednego z odległych, nie objętych stanem wojennym ośrodków, lub opuszczenie Królestwa według własnego uznania. Upatrzył znaną sobie z opisów i opowiadań Galicję, gdzie chłopski ruch polityczny, korzystając ze swobód konstytucyjnych cesarsko-królewskiej Austrii sięgał coraz głębiej do podłoża zabiedzonej, tamtejszej wsi. Co tam porabiał, skąd czerpał najniezbędniejsze środki własnego utrzymania, z kim wiązał swoje życie towarzyskie i obywatelskie — nie wiemy. Nie ugrzązł jednak w jałowej bezczynności. Doniosłym na tę okoliczność dowodem będzie głośna „Odezwa do braci chłopów” Władysława Orkana. Autor „Listów ze wsi”, żywo zainteresowany wszystkim, co działo się w zbuntowanym Królestwie, wzywa społeczeństwo do moralnego i materialnego wsparcia dla odradzającej się politycznie wsi rosyjskiego zaboru.

„...Przyjaciele, którzy byli w Krakowie 14 stycznia br. na zjeździe Stronnictwa Ludowego mieli sposobność widzieć delegatów „Związku” i słyszeć ich przemowy, a jędrne i treściwe słowa włościanina Kurpia, który tak po prostu mówił, o co „Związek” walczy, z pewnością utkwily im na długo w pamięci. Dla tych, którzy na owym zjeździe nie byli i o „Polskim Związku Ludowym” nic bliższego nie wiedzą, dodaję wyjaśnienie, iż „Związek” ten walczy: o polskie szkoły po wsiach, o język polski w gminach, o unarodowienie lasów (przez rząd zabranych), o autonomię Królestwa Polskiego, o polski sejm w Warszawie (na podstawie powszechnego, bezpośredniego i tajnego głosowania) a celem ostatecznym „Związku” jest wolna Polska Ludowa...”

Plomiennie, przejrzysto, bez jakichkolwiek uników. Nie ulega wątpliwości, że piewca Tatr i Podhala uciał sobie pogawędkę ze światłym Puszczakiem Mazowsza i przekonał go do ożywczych działań dla najściślejszej ojcowizny, jaką jest kraina nie tylko urodzenia i dzieciństwa, ale wówczas jeszcze dla wielu i może nawet dla większości miejscem dozgonnego pobytu. Kiedy już w bliskiej przyszłości Piotrowi Kaczyńskiemu konieczność społeczna wciskała do ręki pióro, zamykając drukowaną wypowiedź, przed własnym imieniem i nazwiskiem kładł hasło „Kurp”. Znamienne to wyznanie jego regionalnych upodobań.

Stolica polskich Tatr była od stu lat z okładem oazą ciszy i spokoju dla ludzi przygniatanych dolegliwościami życia, ludzi o zagrożonym zdrowiu, także i dla poszukiwaczy intelektualnej przygody. Wśród tych ostatnich znalazł się Zygmunt Nowicki, nauczyciel wiejskich szkół Królestwa, jeden z czołowych działaczy Polskiego Związku Ludowego. Krótki postój pod Giewontem wzbogacił go znajomością i przyjaźnią z Władysławem Orkanem.

„...Darzył on nas ludowców Kongresówki szczególną sympatią. Pewnego razu, w lecie 1905 roku, spotkałem go na Krupówkach w Zakopanem. Zaciągnął mnie do „zida”, tj. do restauracji, żeby pogwarzyć. Nagle przyszła mu do głowy myśl. „Bracie

— powiada — chodź ze mną do Witkiewicza. Obiecałem mu pokazać choć jednego ludowca z Kongresówki. Nie gniewaj się, że będziesz okazem, ale nie pożałujesz: nie znasz go. Jest to nasz Sokrates „zakopiański...”

— czytamy w autobiograficznych „Kartkach z dziejów nauczycielstwa polskiego”. Rozmowa potoczyła się nad podziw gładko. Autor „Na przełęcz” wykazał duże zainteresowanie chłopskim ruchem politycznym spod Moskala, podtrzymując wyższość tego ruchu nad mocno schorzałym już ruchem galicyjskim, gdzie miejsce programowego działania zajmuje walka o mandaty poselskie, nadania rządowe dla swoich, dalekich często od zasług podopiecznych. Będziemy, jeśli nie przy zupełnej prawdzie, to przynajmniej bliscy jej podstawom, wierząc w podobne pośrednictwo Orkana między Witkiewiczem a Piotrem Kaczyńskim. Zapamiętały w poszukiwaniach autentyzmu, wielbiciel góralszczyzny, nie mógł odmówić poznania bliskiego przecież etnicznie użytkownikom bacówek, oryginalnego Puszcza Mazowsza. Władysław Orkan był wielbicielem krajowego regionalizmu. W oparciu o bogactwo różnorodności wszystkich ziem polskich dostrzegł rozkwit naszych, wszechstronnie pojętych możliwości rozwojowych, szczególnie w warunkach odzyskanej niepodległości państwowej. Przy różnych sposobnościach, wykazując urodę i znaczenie poszczególnych dzielnic ojczystych, nie przeoczył spojrzeń na Kurpiowszczyznę. Kto wie, ile w tym doraźnych zasług Piotra Kaczyńskiego, który całym żywotem własnym i działalnością społeczną wypełniał obrzęd miłości do rodzinnej Puszczy Zielonej.

Pod koniec czerwca 1906 roku z całego królestwa, wszystkich jego podziałów gubernialnych przybyło do Warszawy na tajne zgromadzenie kilkudziesięciu wybitnych przedstawicieli rozwiniętego już Polskiego Związku Ludowego. Podjęte tam, ważne uchwały programowe uwidoczniły dalszy postęp ideowy chłopskiego ruchu politycznego. Zapowiadały przymusowe wywłaszczenie posiadłości dworskich i rządowych na korzyść drobnych gospodarstw rodzinnych i ludzi pozbawionych własnego kawałka ziemi. Żądał zjazd unarodowienia lasów, nieużytków, kopalni i dróg komunikacyjnych. Dostrzegał potrzebę zniesienia uciążliwej szachownicy gruntów, powoływania ludowych szkół rolniczych i stacji doświadczalnych, tworzenia podstawowych warunków rozwoju dla wiejskiej spółdzielczości, nie wyłączając — spółdzielczości produkcyjnej. W tych, umiejętnie, z zachowaniem wszelkich środków ostrożności, naradach wzięła udział pokaźna gromadka tych, co chadzali bezpośrednio za pługiem. Z uwagi na niebezpieczeństwo wpadki zaniechano listy obecności, stąd dalsze, po dzień dzisiejszy nie rozwikłane kłopoty z pełnym ustaleniem nazwisk delegatów spod włościańskiej strzechy. Po kilkudziesięciu już latach przystępujący do odtwarzania dziejów związku Stefan Julian Brzeziński, na podstawie licznych rozmów z żyjącymi jeszcze uczestnikami zebrania, uznał za możliwość udziału w nim Stanisława Noska z Troszyna i Piotra Kaczyńskiego z Dylewa.

W listopadzie 1908 roku zniesiony został stan wojenny Królestwa. Różne złagodzenia prawne umożliwiły licznym uchodźcom politycznym powrót do uspokojonego już wewnątrz kraju. Po dwóch prawie latach nieobecności ujrzał się w Dylewie Piotr Kaczyński. Kadzidlańskie bory nikłym zaledwie uległy przemianom. Po dawnemu strzechy jej nawiedzała bieda, tysiące ludzi wszystkich gmin pogranicza nadal wędrowało za chlebem. Nadal nieliczni tylko, skazani jednak na samotnictwo,

rozważali konieczność gospodarczego i kulturalnego rozwoju Kurpiowszczyzny. Do takich, niezbędnych społecznie przedsięwzięć nawoływał już chłopski ruch polityczny, skupiony wokół „Zarania”, którego redaktor, wydawca i główny publicysta Maksymilian Malinowski rzucił wabiące swoją świeżością i rozmachem hasło „sami sobie”. Wzywało ono do działania, pozbawionego opiekuństwa przede wszystkim dworów i plebanii. Był to dalszy ciąg nielegalnego i półlegalnego działania Polskiego Związku Ludowego. Wieś małopolska, korzystając z pokaźnych swobód konstytucyjnych, śmiało sięgała po różne, dostępne sobie możliwości politycznego rozwoju, nie pomijając rozwoju kulturalnego i gospodarczego. Kółka Rolnicze; Towarzystwo Teatrów i Chórów Ludowych, różne ogniwa spółdzielczości, wszystko to razem towarzyszyło jej w codziennej walce o byt, który w poszczególnych wypadkach wykazywał się pewną użytecznością. Do „kraju przywiślańskiego”, przewidując trud i możliwości, przenosił te doświadczenia ruch zaraniarski. Natychmiast skłonił się ku niemu Piotr Kaczyński.